ZDRÓJ WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK V POZNAŃ MARZEC 1935 NR. 3 (42)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID

STEFAN PAPÉE:

TRAGICZNE DZIEJE „MARCHOŁTA"

„Marchołtowi" źle się dotychczas wiodło. Kasprowicz wykończył swą tragikomedję bezpośrednio przed wybuchem wojny światowej. Nie mógł wówczas nawet marzyć o wydaniu „Marchołta" drukiem, a co dopiero o ujrzeniu tragedji na scenie. Nadszedł rok 1920. „Marchołt" pojawił się we Lwowie, nakładem księgarni Gubrynowicza. Znów wojna kazała czytelnikom zapomnieć o bohaterze Kasprowicza.

— Marchołt! Marchołt! przepadł bez śladu — użalał się przed żoną Kasprowicz. Nigdym nie myślał, że przejdzie tak niepostrzeżenie. A tak wiele się po nim spodziewałem.

— Marchołt nie przeszedł jeszcze — pocieszała żona... tak jak czekał na swoje wydanie, może jeszcze czekać 6 lat i więcej na swoje „przyjście"...

Wydawało się, że przedewszystkiem Jaracz wprowadzi na scenę polską „Marchołta". Mawiało się czas jakiś: Schiller, to znowu Szyfman. Lecz „Marchołt" czekał daremnie.

W Poznaniu przez kilka lat zabiegałem o wystawienie tragikomedji Kasprowicza. Obiecywał i zapowiadał prapremjerę dyr. Szczurkiewicz, zajął się potem „Marchołtem" dyr. Rudkowski. Obydwaj nie dotrzymali. Pokutowało nadal w teatrach przekonanie, że nie można porywać się na inscenizację „Marchołta", bo to dramat książkowy, zaobszerny, zbyt trudny, nie dla nas.

Dopiero obecny sezon teatralny przełamał to dziwne uprzedzenie. We wrześniu zapowiedział prapremjerę „Marchołta" dyr. Teatru Polskiego w Poznania Robert Boelke, niespodziewanie jednak wyprzedził Poznań Lwów wystawiając „Marchołta" 3 października 1934 r. W kilka miesięcy potem, 26 stycznia 1935 r. doczekaliśmy się poznańskiej premjery.

Prapremjera lwowska w teatrze dyr. Horzycy odniosła wielki sukces artystyczny dzięki reżyserowi Radulskiemu, dekoratorowi Daszewskiemu i wykonawcom ról Marchołta i Fauna, artystom Kaczmarskiemu i Białoszczyńskiemu. Pojawiło się kilka entuzjastycznych ocen, nazwano prapremjerę wydarzeniem, nabożeństwem scenicznem, nowem urodzeniem „Marchołta". Sztuka jednak padła. Mówiono, że powodem niepowodzenia były zbyt małe skróty, to znowu upatrywano powód klęski w silnem podkreśleniu „sprośności" tragikomedji, co nie pozwalało pokazać „Marchołta" młodzieży.



J. Kasprowicza „Marchołt" na scenie Teatru Polskiego w Poznaniu.

Akt IV.
Scena Marchołta (Janusza Ziejewskiego) z Faunem-Panem (Władysławem Hańczą).

W Poznaniu młodzież zobaczyła dramat Kasprowicza na 6 szkolnych przedstawieniach. Inscenizacja robiona była z myślą o dopuszczeniu młodzieży, nic więc nie stanęło na przeszkodzie zaznajomieniu uczniów i uczenic szkół średnich z arcydziełem poety. Natomiast przedstawień dla dorosłych było tylko trzy. Premjera, w sobotę, miała nadkomplet. W niedzielę kasa dochodziła zaledwie do trzystu złotych. Trzecie przedstawienie dało około pięćset.

Niespodziewanie pojawił się przykry list p. Jarockiej, córki poety, protestujący przeciw wystawieniu „Marchołta" bez jej wiedzy i zezwolenia. Teatr Polski uchwycił się nagle tego listu, jakby jakiejś deski ratunku i wycofał „Marchołta". Miał odwagę i zdobył się na ofiarność wystawiając „Marchołta". Zabrakło mu jednak wytrwałości i wiary w utrzymaniu tragikomedji na scenie. Przykry rezultat finansowy niedzielnego przedstawienia przeraził widocznie do tego stopnia gospodarzy teatru, że nie ośmielili się ryzykować, choć wiele przemawiało za dalszem graniem tragikomedji, która mogła, według mych obliczeń, osięgnąć conajmniej 10 przedstawień również dla dorosłych.

Dlaczego dziś o tem piszę. Przemawia przeze mnie rozżalenie. Tyle znów wysiłku nie wydało pełnego rezultatu. Wyborna była reżyserja Koreckiego, ładna muzyka Padlewskiego, artyści spisali się wzorowo, zwłaszcza Ziejewski jako Marchołt, ogólnie pochwalono podejście regjonalne do dzieła i silne związanie „Marchołta" z Ziemią Kujawską i osobą samego Kasprowicza. Teatr Polski odniósł piękny sukces artystyczny. A jednak i tu znowu nie było powodzenia.

Może się więc wzmocnić, po doświadczeniach lwowskich i poznańskich, przesąd jakoby naprawdę powód niepowodzeń tkwił w samym „Marchołcie", widocznie nienadającym się na scenę. Przeciw takiemu sądowi pragnę zaprotestować jak najbardziej stanowczo. Nie tylko głosy wielu krytyków lwowskich i poznańskich umocniły mnie w przekonaniu o teatralności „Marchołta". Tragikomedja oddziaływała tak silnie na młodzież, na dorosłych słuchaczy, tak gorąco przyjmowana była przez prostych ludzi i przez wytrawnych ludzi teatru, że mimo poznańskiego zawodu nie przestałem wierzyć w ostateczny triumf sceniczny wielkiego dzieła poety.

Marchołt nie przeszedł jeszcze.

Nadejdzie dzień, w którym tragiczne jego losy skończą się triumfem.

W tej tragedji jest bowiem nie tylko potęga poetyckiego natchnienia i mądrość wielkiego myśliciela, ale są w niej i źródła tak świeżych i przejmujących wzruszeń teatralnych, że „Marchołt" musi stać się ostatecznie jednym z podstawowych dzieł żelaznego repertuaru polskiego teatru.

Doświadczenia lwowskie i poznańskie mogą tylko zwycięstwo „Marchołta" przyspieszyć! Teraz ma głos Warszawa!

JAN PIECHOCKI:

„KAMENA"

Rozmaicie można poznawać swój kraj. Z lotu ptaka, jadąc samolotem, z wagonu pośpiesznego pociągu, wędrując od wioski do wioski z kodakiem w ręku, wreszcie płynąc popularnym kajakiem. Jest jeszcze wiele innych sposobów, aby poznać miasta, góry, doliny, Kaszubów i Poleszuków, Żydów i Ślązaków, kościoły, fabryki, bibljoteki i ruiny. Zapalony krajoznawca, co to studjuje przeróżne „przewodniki", opłaca składki w jakimś Touring-Klubie, abonuje „Ziemię" i gromadzi albumy, pełne fotografij i pocztówek, sypnie jak z rękawa niezawodnemi radami, jak i gdzie uprawiać turystykę. Podróż po Polsce byłaby dziś wszakże bardzo niedokładna, gdybyśmy pominęli w naszym objeździe osobliwości *polski pejzaż duchowy.*

Jest on równie urozmaicony jak nasz krajobraz w znaczeniu geograficznem. Jak obraz szczepów Polskę zamieszkujących. Nigdzie może bogactwo i różnorodność pejzażu duchowego nie występuje tak dobitnie, jak w *prasie regjonalnej.* Obojętnie, czy w pismach, które są regjonalnemi świadomie lub prawie bezwiednie. Obojętnie, czy sens swego istnienia i rację swego krótszego lub dłuższego bytowania uzasadniają racjami potrzeb jakiegoś regjonu, czy też nie. Tak czy owak są przecież pisma prowincjonalne o aspiracjach kulturalnych *żywemi barometrami ciśnień intelektualnych i szukanym obrazem panoramicznym kształtowania się duchowych potrzeb i artystycznych realizacyj.* Zwłaszcza, jeśli czasopismo regjonalne powstało samorzutnie, nie wiedzieć jak, dzięki czyjejś niespodziewanej i w skutkach zrazu nieobliczalnej inicjatywie — tak zupełnie bez niczyjej „komendy", bez zgóry w szczegółach przemyślanego programu, jeśli wyrosło z nieokreślonych bliżej, a przecież trafnych instynktowych wyczuć potrzeby regjonu...

Wreszcie — tak długim wstępem — przygotowaliśmy teren do rozpoczęcia „ataku" krytycznego. Chcę słów parę napisać o *Kamenie,* mies. literackim, wychodzącym w *Chełmie Lubelskim.* Naprzód nasuwa się pytanie, czy *Kamenę* możemy podciągnąć pod pojęcie pisma regjonalnego. W 7 numerze I rocznika (marzec 1934) zastrzegają się wydawcy, że *„Kamena"* nie jest organem grupy lubelskiej i z dawnym „Reflektorem" nie ma nic wspólnego. Wydaje ją paru ludzi dobrej woli, zamieszkałych w Chełmie, a na łamach jej redakcja zamieszcza utwory zarówno poetów lubelskich jak i innych dzielnic Polski". Szczupłe ramy kroniki chełmsko-lubelskiej, wielka liczba tłumaczeń z obcych języków i sporo miejsca, przeznaczonego na dysertacje estetyczne, oderwane od tła lokalnego — oto byłyby czynniki odbarwiające *„Kamenę"* pod względem regjonalnym. Jednakowoż współpraca na jednym łamie talentów różnych, lecz pochodzeniem czy koleżeństwem silnie związanych, stwarza w „Kamenie" pewną łatwo wyczuwalną *atmosferę, pewien odrębny a swoisty ton.* Jak wynika z artykułów *Stanisława Czernika,* nieobcego czytelnikom „Wici" (patrz rok II, nr. 1/2), *Józef Łobodowski, Antoni Madej, Ludwik Michalski, Wit Kasperski, Wacław Mrozowski, Józef Czechowicz, Zdzisław Popowski, Jan Brzękowski* (pomijając wielu innych) to przecież *„poeci Lubelszczyzny".* Każdy z wymienionych posiada własny „kraj poetycki", własną glebę, z której soki czerpią korzenie talentu, ale sąsiadując, tworzą jeśli nie las, to conajmniej spory a odrębny szlak w polskim lesie poetyckim.

Dwie cechy charakteryzują poetów zgrupowanych w *Kamenie:* akcenty radykalizmu społecznego o sympatjach socjalistycznych (por. pompatyczne pozdrowienie socjalistów-powstańców, poległych na ulicach Wiednia) oraz intensywne kultywowanie problematyki estetycznej, n. p. roztrząsanie zagadnień treści i formy. To ostatnie narzuca się pismu samą logiką rzeczy, skoro w niem pisze tylu poetów, zadzierzyście wymachujących czerwoną chorągiewką (n. p. Czuchnowski). Jak pogodzić poezję bądź co bądź *tendencyjną,* chłopomańską czy proletarjacką, z kultem formy, z wymaganiami czystej sztuki? Jak rozgraniczyć pojęcie *treści poetyckiej* od *tematu* wiersza? Oto kłopoty braci naszej w odległym Chełmie. Dyskusje na ten temat są bardzo pouczające, temwięcej, że *poetycka kolumna* dostarcza w „Kamenie" ciekawej ilustracji do utarczek krytycznych. Rzadcy dziś lubownicy wierszy, miłośnicy piękna i poetyckiego kunsztu znajdą na łamach chełmskiego miesięcznika poważną kolekcję klejnocików, rzezanych w polskiem słowie. Jeżeli przeglądać zeszyt po zeszycie, to aż podziw bierze, że tyle poezji — i to przeważnie wysokogatunkowej — powstaje w naszych tak mało poetyckich czasach Przypuszczamy, będąc nastrojeni optymistycznie, że istnieje konsumpcja równa produkcji. Oby „kameniarze" byli czemś więcej od rzadkich kwiatków wśród kamienistej pustyni kulturalnej!

Wydawanie w małym, zapadłym Chełmie pisma, nacechowanego — wbrew wspomnianym tendencjom radykalno-społecznym — polorem arystokratyzmu estetycznego i pięknoduchostwa świadczy pochlebnie o kulturze polskiej prowincji i aspiracjach naszej warstwy przodowniczej. Byleby jednak ten fakt nie szedł w parze z naturalną w tym wypadku rezygnacją z rozszerzenia zasięgu kulturalnego na szare masy prowincjonalnych czytelników. *Mimowolna* rezygnacja z ukulturalnienia rzesz — dzięki uderzeniu w zbyt wysokie dla tych rzesz tonu — jest

charakterystyczna dla środowiska „Kameny”, wogóle dla pewnych środowisk w Polsce. „Radykali”, składający hołd „towarzyszom” wiedeńskim, a wcale im przez rozestetyzowane głowy nie przechodzi, że uprawiają — cenny skądinąd — ekskluzywizm snobów inteligenckich! Przecież ani przeciętny nauczyciel, ani lekarz lub adwokat, a temwięcej chłop czy drobnomieszczanin z pisma tego nic nie wyniesie: poprostu nie znajdą z *Kameną* wspólnego języka. Smutne, lecz niemniej prawdziwe. My, którzyśmy na naszym gruncie mieli *Zdrój*, wiemy coś o tem.

Kamena jako wykwit duchowy chełmsko - lubelskiego regjonu nosi więc wyraźne ślady tamże występującej mentalności — o ileż odrębnej od naszej wielkopolskiej. My nawet w sprawach wzniosłych i odświętnych jesteśmy praktyczni i mierzymy w osiągalne cele. Nie wiem, czy tak dobrze, ale tak jest. Wracam do punktu wyjścia: *znajomość kraju będzie kaleką bez poznania pejzażu duchowego, a tenże studjować bodaj najłatwiej na różnych specimen'ach pism regjonalych.*

— — — — — — — — —

ALEKSANDER ROGALSKI:

WIELKOPOLANKA — PIERWSZĄ EMANCYPANTKĄ

Nasza emancypantka zanim zdołała przekształcić się w karykaturę, w pannę Horwath z „Emancypantek” Prusa, musiała oczywiście przeżywać uprzednio swoje apogeum, a przedewszystkiem musiała się — narodzić. Te jej narodziny nie dokonały się znów w czasach zbyt odległych. Miały bowiem miejsce w epoce, gdy się u nas już nadobre rozgościł romantyzm.

I to jest właśnie charakterystyczne. Przedtem była literatura nasza w przeciwieństwie np. do francuskiej, u samej kolebki której stoją takie kobiety jak Małgorzata z Navarry czy Katarzyna de Vivonne, nawskroś męska, brak jej tonów kobiecych. Ideał „dwornej pani” Górnickiego nie poruszył głębiej żadnej białogłowy. To też można się było już zgóry spodziewać, że, gdy zapanuje u nas romantyzm, odprawiający wcale nierzadko na swym ołtarzu nabożeństwa do „wietrznej istoty”, to z tą chwilą ta wietrzna istota poczuje się godną owych celebracyj, zrozumie wagę swego istnienia, uświadomi sobie doniosłość swej roli, wreszcie — wyemancypuje się.

Kobietą, która zasługuje całkowicie na miano pierwszej emancypantki jest Wielkopolanka, Julja z Molińskich Wojkowska. Urodziła się w r. 1815. Obdarzona żądzą wiedzy, gorącem sercem, lotną wyobraźnią reagowała niesłychanie żywo na prądy, które do nas z Zachodu przypływały, zwłaszcza zaś na saint - simonizm i fourieryzm, propagujące idee demokratyczne w różnych formach i odcieniach. Pannie Julji, wszystko to mocno zaimponowało, a że niemało posiadała krytycyzmu, że nie brakło jej zmysłu obserwacyjnego, odpowiedniej dozy praktycznego realizmu, przeto zrodziła się w niej ambicja, by idee te dostosować do rzeczywistości w jakiej żyła, wprowadzić je w czyn, by, co więcej, osobiście wywierać wpływ na społeczeństwo.

W tym kierunku najszersze perspektywy odkrywała wówczas praca nauczycielska. Jakoż zostaje nauczycielką, otwiera w Poznaniu w r. 1839 pensjonat żeński. Znają tu wszyscy tę małą, chudą osóbkę o czarnych włosach i oczach, ogromnie żywą, nerwową, ba, nawet egzaltowaną.

Nie pozostaje długo samotna z swem sercem, umysłem, ideałem: Jest wtedy w Poznaniu człowiek z równym jej temperamentem, charakterem, intelektem — Antoni Wojkowski, redaktor bardzo postępowego „Tygodnika Literackiego”, niezły kompozytor, a wcale dobry fortepianista. Poznają się, podobają się sobie wzajem, pobierają się. Ekscentryczna to była para. Ekscentryczna przedewszystkiem jak na ówczesne stosunki poznańskie i nietylko poznańskie. Nie wzruszają jej zbytnio konwenanse towarzyskie, ni opinja, żyje w wolnym związku na podób bohaterów któregokolwiek romansu George'a Sand. Brak zarówno jej jak i jemu umiarkowania, pewnej nieodzownej równowagi, duchowego spokoju, wielkopolskiej prostolinijności, pieniądz nie jest dla nich wszystkiem, pozbywają go się też w zadziwiająco krótkim czasie. On i ona daleko odbiegali od powszedniego typu wielkopolskiego. To co ich wybitnie wyróżniało, to było właśnie silne skomplikowanie psychiki, jej ciągły niepokój.

Julja Wojkowska zadebiutowała „pieśniami ludu wiejskiego i dumkami”, umieszczonemi od roku 1841 w „Tygodniku Literackim”. Tęga z niej demokratka. Te pieśni rzeczywiście „tchną antyszlachecką nienawiścią”. Z tradycyjnego schematu: pan — chłop, zwycięzcą zawsze wychodzi chłop:

Przyjdą burze, przyjdą burze,
Przyjdą niespodzianie
Runie pałac, runie pałac
A chatka zostanie.

Któż to mówi z taką siłą i pewnością? Czyżby jakiś zagorzały rewolucjonista - emigrant z Towarzystwa Demokratycznego? Nie, to mówi bynajmniej nie taka nadzwyczajna kobieta, żyjąca w dodatku w ciągłym kontakcie z tem społeczeństwem, w którem dominowała warstwa posiadająca, które w żadnym razie nie ujawniało wybitnych sympatyj demokratycznych.

Nie poprzestawała na tem. Po kilku latach, w r. 1845, wydaje „Dzieje polskie od Lecha aż do śmierci Królowej Jadwigi” a w następnym dwie książki-elementarze: „O poćciwym Janku i dobrej Marysi” i „Dwie książeczki, które stary Wojciech kupił na jarmarku...” Usiłuje niemi szerzyć z całym zapałem kaganiec oświaty wśród ludu, kształcić go i wychowywać, budzić w chłopie świadomość pełnego człowieczeństwa, jakby zdawała sobie doskonale sprawę w tej epoce, która tak mało miała zrozumienia dla rzeczywistości, że nie wystarczy mienić się demokratą i „robić” rewolucję ludową, trzeba zbliżyć się wpierw do ludu, starać się go rozumieć, wywieść go z kurnej chaty na szeroki gościniec, „wskazać mu zdala otwarte bramy oświaty”.

Książki o ludzie i dla ludu to jeszcze nie wszystko. Pierwszą naszą emancypantkę zaobsorbowała w silniejszym jeszcze stopniu krytyka. Walczyła na łamach „Tyg. Lit.” namiętnie, po kobiecemu, ze wszystkiem, co jej nie odpowiadało: z fanatyzmem, z biernością, z sentymentalizmem. Zadziwia w niej to, że, będąc w gruncie naturą romantyczną, czego dowodem chociażby jej nonszalancja życiowa, występuje z pasją przeciwko takim współczynnikom romantyzmu jak: mistycyzm, supremacja uczucia nad rozumem.

Nawet przeciwko samej poezji romantycznej. Oto przeciwstawia się zupełnie poglądom Goszczyńskiego — mistyka, zawartym w jego artykule o stanowisku poety w społeczeństwie („Rok” 1843). Wywodzi bowiem Wojkowska w krytyce owego artykułu („Tyg. Lit.” 1843): „Miną te czasy, a nastaną inne, i rozum i uczucie podadzą sobie bratnie dłonie, lecz tymczasem, dziś więcej niż kiedy, biada temu, kto powstaje przeciw rozumowi, przeważnemu dziś natchnień pogromcy... Sam Bóg nie

podniesie ziemi do nieba, niechaj ziemia dąży ku znalezieniu drogi".

Czyżby to była zapowiedź dalekiego pozytywizmu? W takimby razie Julja Wojkowska była nietylko pierwszą u nas emancypantką, ale również pierwszą pozytywistką. Wartoby się tem bliżej zająć.

Sama będąc emancypantką, cóż sądzi wogóle o kobiecie? Otóż nie podpisuje się pod hasła tych kierunków, które chciały wprowadzić kobietę na arenę życia publicznego. Ona jest zdania, że wyłącznym udziałem kobiety jest życie rodzinne, domowe, tak jak publiczne jest wyłącznym udziałem mężczyzny. Kobieta powinna stworzyć harmonję między jedną dziedziną a drugą, do czego znów jest koniecznem, by znała sprawy publiczne i miała świadomość dążeń ludzkości. J.Wojkowska za swój przyjmuje ideał kobiety wspomnianej już francuskiej emancypantki, George'a Sand. Kobieta zaś Sand'a jest to „kobieta *Wyzwalająca się* z pod ohydnego jarzma jednostronnej opinji,a zachowując przytem wszystką poezję najtkliwszą serca kobiety... kobietę Sanda wiedzie wszędzie uczucie, ale uczucie oparte o *wiedzę o sobie*, o samodzielność". („Tyg. Lit." 1843) Każda też kobieta musi zrozumieć, że jest istotą, posiadającą moc stanowienia o sobie. Tylko że samodzielność nie może przerodzić się w *samowolę*. Jak bowiem przeznaczeniem mężczyzny jest walka n. p. rozumu, tak zadaniem kobiety jest „uczuciem utrzymać równowagę w rodzaju ludzkim".

Poglądy pierwszej emancypantki wydają się nam może dzisiaj bardzo „nieemancypacyjne". Ale pamiętajmy, że w czasach, na które przypada jej działalność, kobieta nie potrafiła nawet w takim stopniu wyrazić swego samorządu. Jakaż to była bowiem kobieta? Idźmy za zdaniem samej Wojkowskiej. Były więc wtety albo „modne damy salonowe", albo „sentymentalne sroczki", „marjonetki", „filozofki bardzo nudnego rodzaju", albo „pietystki", a w najlepszym wypadku „osoby często szanowane, ale niezdolne, aby być żonami, matkami pokolenia... Na takiem tle jaskrawo odbija się światopogląd Julji Wojkowskiej. Zresztą nie jej poglądy na kobietę, ale działalność publicystyczna, literacka, społeczna, polityczna stanowi pierwsze kryterjum jej „emancypanckości".

Julja Wojkowska ogłosiła prócz wspomnianych jeszcze kilka innych publikacyj, gwłównie treści pedagogicznej, a m. in. powieść autobiograficzną „Z Kudowy". Umarła 9 sierpnia 1851 r. — w obłąkaniu. Jej tragedja — oto znów ciekawy finał tego pierwszego etapu wyzwolin kobiety.

JOLENTA BRZEZIŃSKA:

„KONARSKIEGO ANDA"

(FRAGMENTY POWIEŚCI)

Trumna tonęła w zieleni. Ludzie wchodzili i wychodzili. Klękali, modlili się, gapili i oglądali zmarłą.

— Mój Błoże, tak sie nieboszczce zmarło.

— Anó, wszystkich nos to czeko.

— Ale już tyż ładnie jóm ubrali.

— Skąd oni tyle kwiatów wzięli?

— Trzewiki ma papierowe? Nie, prawdziwe.

Szepty rozmów mieszały się z szeptami modlitw.

— Widziała pani? Ani córki, ani męża.

Anda stała pod ścianą ukryta za krzami zieleni. Poprzez gałęzie oleandrów wodziła wzrokiem po zwłokach matki. — Nic mi nie jest dziywcze — szumiało jej w uszach.

Twarz zmarłej wydostojniała, ani śladu przebytego cierpienia.

— Nic mi nie jest — Anda oparła się o ścianę. Głowa zdawała się jej pękać. Każdy głośniejszy krok walił ją jak młotem.

— To wy tu Marciniakowa teraz gospodarzujecie?

— Ktłoś sie musi wszyskiym zająć.

— Przecie jest mąż.

— Tu potrzeba kobiyty.

— A córka?

— Mój Błoże! Jeszczyk zwarjować młoże tak sobie do głowy wszysko wziyna.

Godzina pogrzebu zbliżała się. Przed domem gromadził się coraz większy tłum.

Marciniakowa odszukała Andę i pomogła jej się ubrać. Zsunęła jej krepę z kapelusza zakrywając twarz.

— Nik nie bydzie przynomi pannie Ajndzi w gymbe patrzoł.

Z kąta pokoju wysunął się Konarski. Skurczony, mały, przybity nieszczęściem, zbliżył się cicho do trumny i klęknął u wezgłowia.

Pokój wypełniał się coraz szczelniej. Zrobiło się ciasno, nikt już nie klękał, ten i ów przecisnął się i wyszedł na ulicę.

Jakaś ciotka wzięła Andę pod rękę. Stanęły przy trumnie. Wszedł ksiądz i zanim dziewczyna zdała sobie z tego sprawę, trumnę zaczęto zamykać. Wzdrygnęła się. Ojciec zaszlochał głośno.

— Niech pani patrzy, łóna pewnie z kaminia.

— Jedna córka, jedno dziecko.

Była jak ogłuszona. Nie wiedziała co się z nią dzieje. Ktoś ją wyprowadził, z kimś znalazła się na ulicy, ktoś szedł przy niej. Ksiądz śpiewał, wolno posuwał się pochód. Szła bezwiednie trzymając w ręku kurczowo torebkę i mnąc w zaciśniętej dłoni świeżą chusteczkę, którą jej Marciniakowa wetknęła. Nie płakała. Stary Konarski wzdychał ciężko.

Nie wiedziała kiedy znaleźli się na cmentarzu. Ludzie pchali się, potrącali, spieszyli się by znaleźć się jaknajbliżej grobu. Ktoś ją popchnął, ktoś podtrzymał. Nie czuła tego. Widziała tylko trumnę zawisłą nad ciemną głęboką jamą i słyszała szloch ojca. Nogi pod nią dygotały.

— Widzi pani, widzi?

— Jezu jako zatwardziało!

— Nie płacze?

Ksiądz odprawiał modły, Konarski ryczał, ten i ów miał łzę w oku.

— Requiescat in pace.

Anda drżała. — Nic mi nie jest dziywcze — szumiało jej w uszach.

Trumna zaczęła wolno opadać. Rozpacz targnęła jej ciałem, chciała pochylić się nad grobem, ktoś ją jednak przytrzymał.

— Mama! — i naraz — łzy pociekły jej z oczu.

— Wii-taaj kró-loo-wo...

Ksiądz już odszedł.

Anda oparta na kimś spazmowała.

* * *

Przywlókł się jak zazwyczaj późnym wieczorem.

— Andzia... — zaczął przerywając spowodu gnębiącej go czkawki, — jożym... se.. poszukoł ro..bote..

— Kto? Łojciec? Dziynki Bogu. Może sie nareszcie łojciec ustatkuje.

Chciał się rzucić na łóżko, ale dziewczyna zatrzymała go.

— Niech sie łojciec rozbierze najprzód.

— Wynóś sie — odepchnął ją.

— Rozbierze mi sie łojciec.

— Bło.. co? — zapytał czkając znowu.

— Bo já nie byde extra dlá łojca prała.

— A ty smar..kato!

— Smarkato, a na łojca musze robić.

— Wi..dzicie ją.

— Niech sie łojciec rozbiyro.

Posłuszny już zrzucił marynarkę i zaczął zdejmować buty.

— Gdzie tam łojciec má miyjsce?

— U.. u..

— Ni może łojciec wiyncy wiukać?

— Cicho dziy..wcze, cicho.

— Nie u Nowackiygó? Tam podobno czeladnik łodszedł.

— U Ka..czmarka.

— Gdzie? Którygó Kaczmarka? W hotelu? Co łojciec chce tam robić?

— Kel..nerym byde — oświadczył z pasją.

— Łojciec kelnerym? W imie Łojca i Syna! Czy łojciec rozum straciół?

— Nie dziywcze. Kel..nerym byde.

— Łojciec piykorz kelnerym?

— Kelll-nerym dziywcze.. — i rzuciwszy z rozmachem skarpetki, wyciągnął się na łóżku.

— Kell.. .. psiakrew .. nerym byde.

I stary Konarski został kelnerem tak długo, dopóki któregoś dnia nie wyprysł na ulicę jak już nieraz dawniej, gdy był jeszcze jednym z najlepszych klijentów.

Anda płaciła rachunek.

Pracowała za dwoje. Jak zwykle, wiosną, szycia miała dosyć.

Było już po północy. Wybita ze snu i wytrzeźwiona otworzyła okno. Swieży wiosenny wiew wczesnego poranku wtargnął do pokoju. Odetchnęła z przyjemnością. W ciszy nocnej rozlegały się to dalsze to bliższe naszczekiwania psów. Kur gdzieś zapiał, inny mu wkrótce zawtórował. Z zadowoleniem i nieco powolną sumiennością wykończała suknię.

Ktoś przeszedł ulicą, gdzieś zdala dochodził gwar rozmowy. Stawał się coraz głośniejszy, rozmówcy zbliżali się widocznie.

— Mogliby tyż ci ludzie być po nocy cicho. Przecież to wszystko śpi jeszczy w najlepsze.

Rozmowa ustała, w chwilę później wybuchła gdzieś w pobliżu gwałtowna sprzeczka.

Anda spojrzała na zegarek. Była oburzona.

Płomień lampy przybladł, świtało. Hałas nie oddalał się. Wyjrzała oknem. Trzy cienie obsiadły próg sąsiedniego domu. Zamknęła okno głośno i podjęła pracę, gdy wtem dobiegł ją z ulicy śpiew. Ktoś wydzierał się schrypniętym, pijackim głosem. Towarzyszył mu śmiech pozostałych.

Dziewczyna zdmuchnęła lampę i podeszła znowu do okna. Otworzyła je teraz cicho. Nasłuchiwała.

— Naturalnie, łojciec — stwierdziła z goryczą.

* *
*

Wracała jak codzień w wieczór. Była znużona ale zadowolona. Obliczała swój dotychczasowy zarobek.

Na chodniku przed domem stało kilka kobiet. Rozprawiały żywo, gdy się zbliżyła umilkły natychmiast.

Przyspieszyła kroku.

-- Już tyż te baby niy mają nic wiyncyj do roboty ino pierdoły kleić.

Patrzały na nią natrętnie i ciekawie. Wpadła do sieni. Odrazu wszczęła się głośna rozmowa.

Drzwi mieszkania były zamknięte. Ojca znowu nie było. Uniosła słomiankę spod progu i wyjęła z kąta klucz.

Zapałek nie miała. Weszła więc poomacku i zaczęła poszukiwania. Potknęła się o krzesło. Rękoma namacała stół, nogą uderzyła jakiś garnek na podłodze. Stół był cały zastawiony. Coś wywróciła, trąciła kilka talerzy.

— Boże kochany, co tyn łojciec tu robiuł?

Nie było mowy żeby wśród tego znaleźć zapałki.

Skierowała się ku wyjściu. Natknęła się na drugie krzesło. Potrącone zadzwoniło łyżkami, coś nawet z brzękiem spadło na podłogę.

Dobrnęła do drzwi i zeszła nadół do Marciniaków.

Kobieta rozbierała dzieci.

— Dobry wieczór pannie Ajndzi.

Chłop podniósł głowę znad gazety.

— Chciałam wás prosić o zapałki. Łojciec mi gdzieś podział, jeszczy taki nieporządek w kuchni zostawiuł, żebym co pryndzyj potłukła.

Marciniakowie spojrzeli na siebie. Chłop wyjął z kieszeni pudełko.

— Bardzo wám dziynkuje. Zaráz je przyniese spowrotym, ino zapále lampe.

Patrzeli jeszcze za nią, choć już zniknęła za drzwiami.

— Jezusie — westchnęła kobieta.

Anda stanęła na progu i potarła zapełkę.

— Nareszcie, przynájmniyj...

Widok był nieszczególny. Garnki, szklanki, talerze, cały jej dobytek kuchenny był porozstawiany. Osłaniając nawpół wypalone drewieńko, podeszła szybko do lampy.

— Że já tu czegó nie stłukłam.

Wkładała cylinder, wykręcając równocześnie knot.

— Co tyn łojciec sobie myśli, czy łón tu jakie porządki robiuł?

Lampa zaczynała kopcić, wkręciła ją więc i rozejrzała się po kuchni.

— Jezu Marjo, a gdzie sie szafa podziała?

Przeszła do pokoju. Wszystko stało nieruszone. Szafy kuchennej nie było.

Płakała długo w noc. Wyczerpana zasnęła skurczona na łóżku. Spała nerwowo, niespokojnie. Zrywała się nie budząc. Wiedziała że szafa stoi w hotelu, że pełno w niej butelek, że ojciec wyciąga jedną po drugiej i wypróżnia napełniając kieliszek za kieliszkiem. Chciała tam biec, ale nie mogła. Przed domem stała gromada kobiet i tak uporczywie się w nią wpatrywała, że nie mogła zrobić kroku naprzód. Stanęła nie przestąpiwszy progu i zaczęła zapadać się w jakąś okropną ciemność. — „Prosze" — Marciniak podawał jej zapałki. Potarła jedną. Zrobiło się jasno. Była w kuchni. Matka siedziała pod szafą. „Nic mi nie jes dziywcze" — uśmiechała się smutno.

Konarski nie pokazał się przez kilka dni. Przyszedł wreszcie skarlały, zbity, spokorniały. Anda litością zdjęta nakarmiła go i wpędziła do łóżka.

Wolno przychodził do siebie. Zdawało się że się zmienił. Narąbał drzewa, raz nawet pozmywał statki.

Dziewczyna patrzała spodełba na te poczynania.

Niedługo się tem cieszyła. Zaczął znowu znikać, wracać do domu późno, a wreszcie rano.

Zgniewała się.

— Gdzie łojciec buł? — zapytała szorstko, gdy się pokazał o świcie.

Stary zaperzył się.

— Może byde za łojca znowu płacić? Może drugą szafe łojciec terá sprzeda? — rzuciła zirytowana.

— Psiakrew! — wyrżnął pięścią w stół. — Jak byde chciál to sprzedam.

Dziewczyna oniemiała. Nie widziała go jeszcze takim.

—Wszystko moje jest — darł się.— Sprzedám, wszystko sprzedám... pysk trzymej smarkato... moje jest... jak bydzie mi sie podobac, sprzedam...

Anda rozpłakała się.

Stary krzyczał coś jeszcze, ale coraz ciszej.

Uciekła do kuchni.

— Sprzedám... sprzedám... moje jest... — bełkotał jeszcze i zatoczył się na łóżko.

JULJAN SZPUNAR:

JĘZYK NAGRODZONEJ POWIEŚCI

W czasie wakacyj ma się dużo wolnego czasu do przestudjowania tych utworów literackich, o których w Polsce wiele się mówi i pisze a ponieważ znajomość tych dzieł jest potrzebna przedewszystkiem nauczycielom języka polskiego w szkole średniej, przeto załączam tę zbożną lekturę od „Nocy i dni" M. Dąbrowskiej. Do napisania tego artykułu upoważnił mnie prof. W. Doroszewski, który w kwietniowym numerze „Por. Jęz." ocenił surowo a sprawiedliwie język i styl pracy naukowej prof.

Wróblewskiego p. t. „Studja z dziedziny prawa i etyki". Jeżeli więc domagamy się słusznie poprawnej polszczyzny od uczonych i badaczy, to tem więcej musimy wymagać od powieściopisarza, który wpływa na masy i urabia styl szerokich warstw czytającej inteligencji. Rozglądnijmy się więc w języku autorki, wołającym często o pomstę do nieba.

Zacznijmy od drobiazgów. Spójniki *zaś, bowiem* — umieszcza autorka z reguły na początku zdania, (z wyjątkiem paru wypadków) np.*) „*Zaś* olbrzymie puste godziny wypełniała czem mogła" (I 70). „*Bowiem* ogród i dwór musiały leżeć" itd. (I 52). „*Wkońcu,* w znaczeniu przysłówkowem, pisze stale osobno: „*W końcu* zaś zapragnęła już miłych słuchań" (I 276). Nazwiska narodów pisze autorka błędnie, małą literą, np. francuzi (I 296).

Ośmieszony prowincjonalizm zdobył sobie w powieści prawo obywatelstwa: „Danielecki chciałby zawrzeć kontrakt *od zaraz*" (I 214). Znalazł się rusycyzm: ...„dajcie znać *telegramą*" (I 214); galicyzny: Wcale *nie znajduję go ładnym*" (I 168; „Doktor *znalazł,* że małe są anemiczne" (I 333); germanizmy: ...„że świeże wiejskie powietrze było jedną z tych rzeczy, *na które* się, jadąc tutaj „cieszyła" (I 67); ...„*ucieszywszy się na widok* siostry męża" (I 314).

Co to za dziwoląg „*drzwi z klucza otworzył*" (II 93)?

P. Dąbrowska widocznie nie rozumie znaczenia przysłówka *znienacka,* skoro pisze tak: „Wszystkie twarze obróciły się ku nim, a one zawstydziły się, zacięły i *znienacka* umilkły" (I 344). „Nakoniec dobiła się tego, że babcia *znienacka* przestała się kłócić" (I 362). „Ratują się wzajemnie (Bogumił i Barbara), dźwigają i to ich *znienacka* zespala" (II 316). Autorka chciała zapewne powiedzieć *nagle* lub *stopniowo* a użyła tego wyrażenia niewłaściwie, co wypacza sens zdania.

Dalsze okazy: „...jedyny (wiersz), który Agnisia zapamiętała i zapisała potem, *brzmiał w takie słowa:*" (II 40). ...„że to są początki *raka w wątrobie*" (II 50), zam. raką wątroby. ...„*z ziewaniem w głosie mówiła*" (II 55). „Długo trwają trwają te lata, *w które* się myśli, że..." (II 58) ...„wychodziła mu gniewnie naprzeciw" (II 60). „Jaka to szkoda, że *nie chcecie się zostać*" (II 209), ...„to ja mogę powiedzieć, *na ile* to podniesie mój dochód" (II 299) zam. *o ile.*

Błędy ortograficzne: *odemnie* (II 62) *wakacji* (II 146), *spruszony* (II 129) sadzą, *twy* (II 147) zam. tfy!, dwudniowych *tragedji* (II 368).

Oto zdanie właściwe żargonowi żydowsko-polskiemu: ...„jedna i ta sama nauczycielka *wykładała polskiego, rosyjskiego, arytmetyki i geografji*" (II 256). Czyż to nie woła o pomstę do nieba??

A to czy po polsku powiedziane? „Owe place Niechcica czy Niechcicowej *nie mają nic do czynienia* z interesami Serlinowa" (II 344) zam.: nic wspólnego.

A teraz osobliwości z dziedziny onomatopei. Autorka słyszy: „*klaskanie* kopyt dorożkarskiego konia" (I 245), kiedy w Warszawie nie śniło się o brukach asfaltowych, dalej: „*piskliwe trzepotanie* się tych (much), które upadły na lep" (II 224). W pewnym momencie „rozlegało się *zażyłe brzęczenie* much" (II 223).

*) Tom I wydanie trzecie 1933 — Tom II wydanie drugie 1932.

KAZIMIERZ KRETOWICZ:

ŻNIWIARZE

Oblani potem, trudem ogorzali,
błyszczący życia bezwiednym wytryskiem
idą żniwiarze.
Choć ich słońce pali,
choć w nich moc kipi plonowaniem bliskiem —
we krwi pożarze — —

wpatrzeni tylko w gromadzone snopy,
schyleni zawsze w niemym majestacie
cichej pokory.
A twarde ich stopy
biegną przez kraju żniwienne połacie —
traktory! —

I snop za snopem staje do szeregu;
a ledwo stanie — wiatr mu suszy kłosy —
plonem ciężarne.
Gdy zaś w pracy biegu
zechcą ją przerwać, by naostrzyć kosy —
wszystko na marne!...

Bo z chmur zdradzieckich rozpłaczą się deszcze
i plon gotowe zniszczyć przebogaty,
pracą kupiony,
ale zanim jeszcze
chmura wyglądnie z za sąsiada chaty
uprzątną plony!

Bo każdy żniwiarz w sercu swojem na dnie
bliskie nadejście niszczycielskiej burzy
czuje proroczy.
A chociaż grad spadnie —
on swoich trudów męczeństwo powtórzy,
zawsze ochoczy.

Idą żniwiarze. A radość tworzenia
bezwiednem słońcem ciepli się w ich duszach,
jasnych w okwicie.
Nie łakną cienia,
nie budzi pragnień w nich ta żarna susza, —
co pali życie.

Zapełnią spichrze, puszczą w ruch młocarnie,
i napęcznieją ziarnem chude miechy...
Codzień o świcie
wychodzą z pod strzechy,
zaledwie pierwszy promień świat ogarnie. —
Żniwiarskie życie!!...

Zasiew i żniwo — oto cel ich drogi,
do której wrośli — korzeniaste drzewa
sercem i duszą; a
i żadne pożogi
z nich nie wyłamią,
bo ich plon dojrzewa!
Więc wytrwać muszą!...

A co powiedzą Czytelnicy o takiem zdaniu: „O tem, że wypisała formę z Warszawy od sióstr Kunke i że uszyła sobie kostjum, który na pierwszym obiedzie u rejenta w Mławie był wzięty za pochodzący od Hersego" (I 230).

Autorka sili się na oryginalność stylu, który polega na tem, że zdanie poboczne stanowi niejako odrębną całość, luźnie związaną ze zdaniem głównem, wobec czego zaczyna je dużą literą. Przykłady. „A czy to nie lepiej, żebyśmy byli dla drugich dobrzy a łatwiej mogli się bez siebie wzajem obejść? *Niż* jak to bywa, że człowiek bez człowieka nie może wyżyć, a jak się zejdą, to się tylko dręczą i dokuczają sobie" (I 342). „Ale wołana do zabawy rodzeństwa, przychodziła i brała w niej udział. *Gdyż* bała się, że o ile nie pójdzie, to nikt nie będzie chciał z nią przestawać, nikt nie będzie jej lubić" (II 10). „W to się prawie wierzyć nie chce, ale *na ile prawda,* co mówią, to ona jego rzuciła. Dla *jakiegoś* miejskiego eleganta, co ją pchnął na ulicę" (II 14). Tu już nawet zdanie główne rozerwane mechanicznie dla futurystycznego efektu na dwie części. „Ale zaczekajcie, zapomniałem wam powiedzieć, że radca Joachim Ostrzeński bardzo chory. *Tak że* doktór od niego nie wychodzi" (II 145).

Czyżby to była zapowiedź nowego stylu... Narazie jednak uczniom naszym poprawiamy podobne dziwactwa. Tak wygląda język i styl powieści, nagrodzonej niedawno przez odpowiednie czynniki kraju.

Nie chcemy mnożyć przykładów wadliwego języka tej książki, wystarczy ten zbiór dorywczy, gdyż artykuł byłby przydługi i nudny, jak powieść nagrodzonej autorki.

Nie z wszystkiemi przykładami się godzimy. Spójnik bowiem na początku zdania jest dopuszczalny, a zaś — bardzo częsty i spotykany dość dawno w literaturze, choć w szkołach naprawdę tępiony przez zbyt gorliwych, a mało świadomych „kontrolerów". Jeszcze parę drobiazgów zakwestjonowaćby można lub położyć na rachunek niekrępowanej, twórczej indywidualności pisarskiej — język artystów może być różny od języka ukształconego ogółu — ale główny zrąb spostrzeżeń prof. Szpunara ma swoją wagę wymowy i smutnej prawdy. Chociaż język wybitnych pisarzy mało wpływa na dialekt kulturalny, jest zawsze raczej trochę „olimpijski", niedościgniony — to nawet wielcy pisarze muszą siebie kontrolować i demoralizujących dziwolągów słownych unikać. U Mickiewicza wiele mamy prowincjonalizmów i innych osobliwości regjonalnych, których nigdy ogólno-polski język literacki nie naśladował, niema wszakże u tego poety dziwactw, któreby choć swym cieniem przypominały łamańce p. Dąbrowskiej. Tak samo z wszystkimi szanującymi się „językowo" twórcami, bo nie godzi się wołać na świadka aż Mickiewicza.

Dąbrowska ma jednak wspólników. Wymieńmy choć Kadena Bandrowskiego, o którego wyczynach gramatycznych pisał w „Języku Polskim" prof. U. P. dr. Klich.

Red

ZALESZCZYKI — I JAN KASPROWICZ

(KARTKA Z PODRÓŻY)

W wędrówkach harcerskich ostatniego lata, w czasie obozowania harcerzy kępińskich pod Zaleszczykami, napotkałem w Zaleszczykach na drogie sercu wielkopolskiemu pamiątki po Janie Kasprowiczu. Ponieważ „Wici Wielkopolskie" tak skrzętnie notują to, co tyczy Wielkopolski i Wielkopolan, przeto pozwalam sobie przesłać fotografję, — zrobioną przezemnie w lipcu ubiegłego roku — celem umieszczenia jej w regjonalnem naszem piśmie.



Kapliczka Kasprowicza w Zaleszczykach projektu i pendzla prof. Jarockiego.

Fotografja ta, to kapliczka Kasprowicza — zbudowana, na drodze z dworca zaleszczyckiego do miasta, naprzeciw budynku „Sokoła", według projektu profesora Jarockiego. Wnętrze jej mieści ołtarzyk z obrazem Matki Boskiej. Fresk w tympanonie z symbolicznemi postaciami anielskiemi, z napisem:

Święty Boże
Święty Mocny
Święty a Nieśmiertelny
Zmiłuj się nad nami!

jak też obraz wewnątrz również są pendzla prof. Jarockiego. Znalazłem tamże drugą pamiątkę i to dom, w którym wmurowana jest tablica, mówiąca o tem, że tu tworzył w 1899 roku Jan Kasprowicz swój potężny hymn „Święty Boże, święty Mocny".

Niestety dom jest w ręku żydowskim. Nawiasem rzucam przy tej sposobności myśl: czy nie wartoby tego domu wykupić z rąk żydowskich, a w porozumieniu z magistratem miasta Zaleszczyk czy obywatelstwa przenieść później dotąd zbiory i okazy regjonalne ziemi podolskiej, mieszczące się obecnie gdzieindziej. Byłoby to skromne, ale dostosowane miejsce do tak udanego w Zaleszczykach „Muzeum regjonalnego".

Sylwester Alfons Lwowski.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI:

LISTY SKANDYNAWSKIE DO TEODORA TOEPLITZA

W maju 1894 wybrał się Przybyszewski poraz pierwszy na daleką Północ. Jechał z wizytą do rodziców swej żony, doktora medycyny Hansa Lemicka Juel i żony jego Mindy z Blehrów, mieszkających w Kongsvinger, małem miasteczku prowincji Hedemarken, w pobliżu granicy szwedzkiej. Pobyt Przybyszewskiego przeciągnął się bezmała do trzech lat, z krótkiemi przerwami na wyjazdy do Berlina, Paryża i Hiszpanji.

Korespondencja Przybyszewskiego z tego okresu niezmiernie ciekawa; daje ona nam wgląd do psychiki autora „Homo sapiens", ustala chronologję jego dzieł, stanowi swego rodzaju urywki raptularza, dziennika poety, dziwnie mało stałego, w niezwykłej mierze zmiennego. Zażyły stosunek przyjacielski, który łączył Przybyszewskiego z Teodorem Toeplitzem, odbił się na charakterze listów pisanych do niego. Mamy tu całego Przybyszewskiego, serdecznego, pełnego humoru, fanfaronady, pomysłów i uwag, nieskrępowanych żadną oficjalnością.

Podaję niniejszem listy te jako pierwodruki z Przypisami, które wejdą do „Listów i Pism Autobiograficznych", wydawanych przez Tow. Przyj. Nauki i Sztuki w Gdańsku w mojem opracowaniu.

Warszawa. Stanisław Helsztyński.

I.

Do Teodora Toeplitza w Brukseli.

KONGSVINGER

Drogi Tedku

Dali Bóg, że się ucieszyłem, gdym Twój list odebrał. Cieszymy się, jak się zdaje, wzajemną słabością. Piszesz, żeś nie odebrał na Twój list odpowiedzi. Ja również nie odebrałem na mój list. Poczta tu do jasnego pioruna. Siedzę, jak widzisz, znowu w Norwegji, podoba mi się tu, pewno też resztę mojego żywota tu przepędzę. Pytasz się o ostatnie moje dzieła. Przysłałbym Ci wszystko, gdybym chociaż jedną stronicę, pisaną przezemnie miał przy sobie. Nic nie mam, a sam tak często potrzebuję. Dramat mój nie drukowany a) dotychczas, bo tymczasowo nie chcę go dać drukować. Romans mój wyszedł już dość dawno z druku. Tytuł „Unterwegs". Nakładca F. Fontane Co Berlin W. Lützow str. 84b. Napisz do niego, przyślij mu 2 mk. za książkę i 20 fen. porto. W ostatnim czasie pracowałem niesłychanie wiele. Na jesień się pary rzeczy ukaże. Na przyszły raz nie będziesz potrzebował pieniędzy na takie głupstwa wydawać, prześlę Ci je gratis i franco.

No, i to kupcem zostaniesz. To rzeczywiście plus bête qu'originale. Faktycznie

nie wiem, czy bête nie jest czasem porządnym bykiem — Ale w mojej głowie częste babylońskie zamieszanie. Teraz tylko norweskim językiem się posługuję. Mniejsza o to. W Niemczech wielki rwetes z powodu mego romansu b) — podobno, bo ja nic, a nic nie wiem. Od kwartału nie czytałem gazety i nie mam żadnych wieści.

Ale co mnie szczególniej ucieszyło, to że Romek i Bolek c) w Antwerpji. O gdyby ich moje oczy kiedyśkolwiek oglądać mogły A to rzeczywiście ciekawy psikus. Gazeta Robot. rozpołowiona na Kongsv. i Antwerpią. d) Pisz tylko mój złoty i przyślij mi do czytenia, tylko wiele — wiele. Ja łaknę formalnie. Nad dramatem wciąż jeszcze pracuję, przerabiam go i nicuję po dziesiąty raz. Teraz wreszcie jestem zadowolony. Chcę go w tych dniach wysłać do „Deutsches Theater" w Berlinie. Mam wiele ufności w głupotę ludzi. Może nie będą w stanie zrozumieć, że mój dramat e) jest rozsądny, a głupocie przyklaskują i przebaczają.

Ściskam Wam wszystkich.
Pisz tylko Stachu
Adr. Kongsvinger (Norvege).

T. Toeplitz, W-wa, I-VI, 19,5x13,5 B. d. (poł. 95)

a) Das grosse Glück. b) Unterwegs. c) Romuald Mielczarski, Bolesław Miklaszewski. d) Wyżej wymienieni pracowali uprzednio w „Gazecie Robotniczej" w Berlinie. e) Mowa ciągle o dramacie „Das grosse Glück" (po polsku: „Dla szczęścia").

II.

Do Teodora Toepliza w Margate.

Mój drogi Tedku!

Serdecznie Ci dziękuję za Twój kochany list. Zazdroszczę Ci Twego pobytu na Kredowych Skałach, a) mnie się te ustawiczne norweskie skały i fjordy już znudziły, chciałbym chętnie się gdzieindziej przenieść, ale muszę tymczasem cierpliwie wytrwać.

Na zimę z całą pewnością przyjadę do Bruxeli b). Cieszę się bardzo, że będę tam Ciebie miał, wiesz jak mi trudno w obcem mieście się zaaklimatyzować. Nienawidzę Berlina i też pewno nigdy do niego nie wrócę.

Dostałeś Unterwegs? Jest to pierwsza część, a raczej druga cyklu „Homo sapiens". Pierwsza część i trzecia wyjdzie równocześnie na św. Michał c). Z trzeciej części jestem niezmiernie zadowolony. Jest to bezwątpienia moja najlepsza i najdojrzalsza praca.

Obecnie pracuję nad drobną rzeczą, którą wskutek niesłychanych satanizmów tylko w 200 egzemplarzach drukować będę. (Miłość płciowa pomiędzy bratem a siostrą.) d).

Wogóle pracowałem niesłychanie wiele w tym roku. Mózg mój zupełnie przepracowany. Nerwy paskudnie rozstrojone. Ale pracuję ustawicznie, mam taki jakiś dziwny strach, że mi czasu nie starczy na to wszystko, co napisać muszę.

Czytujesz nowy miesięcznik brukselski, wydawany przez Maeterlincka: Coq rouge? Cuda o tem słyszałem. Może masz parę numerów. Nadeślij mi, proszę. Na wszystkie strony dopraszam się o trochę literatury nowoczesnej i nigdzie nic dostać nie mogę.

Jezus Marja, gdyby mnie tak kto o coś wciąż prosił! Przyślij mi chociaż Twoje travaux econ.

Myślisz, że będzie mi trudno w przeciągu dwóch miesięcy mówić po francusku? Będę Ci niezmiernie wdzięczny, jeżeli zechcesz przez cały ten czas pozostać ze mną w ciągłej styczności.

Pisz mi obszernie o życiu w Bruxeli. Naturalnie można się tanio urządzić. Taniej jak w Berlinie?

Pisz, pisz, ściskam Cię serdecznie

Twój Stachu.

B. m. d. (Kongsvinger, lipiec - sierpień 95) T. Toeplitz, W-wa, I-V (VI) 18×11,5

a) Adresat spędza uniwersyteckie ferje letnie 95 w Anglji, w Ramsgate w pobliżu Dover; stąd szekspirowska aluzja piszącego. b) Plan nie doszedł do skutku. c) 29 września. d) De Profundis. Wyszło jako Privatdruck na holenderskim papierze po 6 mk. egzemplarz u Storma w Berlinie. Drukował w listopadzie Roeder, Lipsk. Biblj

Przedmowa do De Profundis wyszła wcześniej osobno, również jako Privatdruck u Stroma (1895), p. 14.

KRONIKA

Okolica Poetów

W najbliższym czasie ukaże się nowe pismo literackie, poświęcone wyłącznie poezji współczesnej. Pismo to pod nazwą „Okolica Poetów" będzie wychodzić w Ostrzeszowie pod redakcją Stanisława Czernika. Pismo będzie ośrodkiem łączącym poetów polskich, a główny jego cel — praca nad ukształtowaniem polskiego stylu poetyckiego. W ten sposób „Okolica Poetów" zapełni lukę, oddawna u nas odczuwaną. Pismo będzie otwarte dla wszystkich wartościowych talentów, jako przeciwstawienie się systemowi pism stołecznych, opartych na zasadzie wyłączności i wzajemnej reklamy odosobnionych grup. W „Okolicy Poetów" będą następujące działy: artykuły teoretyczne, liryka, epika, poezja dramat., kolumna poetów regjonalnych, kolumna debjutów, recenzje i kronika. Zamierza się wprowadzić stałą kolumnę poetów wielkopolskich. Zainteresowani poeci proszeni są o porozumienie się z redaktorem pisma, Stanisławem Czernikiem, — Ostrzeszów, Wlkp.

Czasopisma nadesłane

„Czuj Duch" Nr. 12, treść: Postęp w miłości, ks. Marjan Luzar „Narodowcom ku rozwadze", Mieczysław Czerwiński „Kolenda harcerska", Jerzy Zawadzki „Prawo harcerkie a starsze harcerstwo", Sabina Marcinkowska „Starsze harcerki na Zlocie Jubileuszowym", Długi Cień „Jak Akaha święciła swoje piętnastolecie", Jerzy Jankowski „Atakujemy „atmosferę", Jerzy Zakrzewski „Organizacja młodej wsi", mgr. Wiktor Nowak „O budowie materji", „Z wycieczki do Bułgarji". Kronika. Adres red. Poznań — Zamek.

„Kronika Gostyńska" serja VII nr. 2, treść: Henryk Chudziński—Gdynia „Antoni Chudziński z Borku", Stanisław Helsztyński „Ucieczka Przybyszewskiego do Gostynia w r. 1919", Leon Nowak „Pudliszki w dobie wskrzeszenia Państwa Polskiego", Władysław Stachowski „Obrazki z XVIII wieku", „Kronika miasta Poznania". Nr. 4, treść: Leon Koczy „Studja nad dziejami gospodarczemi Żydów poznańskich przed połową wieku XVII", dr. Alfred Brosig „Materjały do historji sztuki wielkopolskiej", „Zapiski", „Dział bieżący". Wydawca: Zarząd stołecznego miasta Poznania.

„Życie Mazowsza" Nr. 2, treść: Tomasz Ogończyk „Kilka uwag na tle genezy „Wesela na Kujawach" ks. Wł. Skierkowskiego, Kazimierz Mayzner „Na marginesie „Programu regjonalizmu polskiego", Wł. Prawdzik „Projekt budowy kolei żelaznych na Mazowszu Płockiem przed 60-ciu laty", S. Szlimm „Program rozwoju gospodarczego Płocka", Zygmunt Maciejowski „Cukier krzepi", inż. J. Szaniawski „Gospodarka drogowa w pow. Płockim w latach 1918—1935", Stan. Kostanecki „Płockie poezje wybrane", Stefan Kieffer „O początkach elektryfikacji Płocka", Jan Marjański „Wspomnienie", ks. A. Dmochowski „Z teki inwentaryzacyjnej Mazowsza Płockiego", M. R. „Z Akademji Papieskiej", Czesław Ścisłowski „Jubileusz siewcy muzyki i śpiewu na Mazowszu", Al. Maciesza „Mazowszanie w kraju i zagranicą (ciąg d.)", Z teki karykatur W. Kuczewskiego, „Kronika". Adr. red. i adm. Płock, Kolegjalna 13.

„Życie Korporacyjne" Nr. 4/5, treść: Przemysław Warmiński „Korporant a życie polityczne", Piotr Wójtowicz „Giermek a korporacja", Alfred Ligocki „Myśl wolna czy dogmatyzm myślenia", „Przegląd polityczno - społeczny", „Kultura i Sztuka", „Ruch korporacyjny", „Komersowa satyra". Adres redakcji i admin. Poznań — 27 Grudnia 19 m 16.

„Poranek" Nr. 2, treść: Dr. St. Frycz prof. U. P. „Poranek", Waszak „W kujawskiej Częstochowie", Erazm Branowski „Rzeź liter", prof. Jan Jerzy Wroniecki „Z pracowni naszych artystów", K. Ludolski „Pegazy, Pieśń młotów", Mulle admund „Dokąd?", Grott Fr. „Pobudka", E. Branowski „Namiętność". Adres redakcji Poznań, Fr. Ratajczaka 11 m. 99.

Książki nadesłane

31. Ludwik Zabrocki: Gwara Borów Tucholskich. Poznań 1934, str. 144.
32. Przegląd Bydgoski — Rocznik drugi. Bydgoszcz 1934, zeszyt I. i II., str. 126 + 32.
33. Henryk Ułaszyn: Ecce sacerdos?... Poznań 1935, str. 32
34. M. Ziemski — T. Piechocki: Wszerz i wzdłuż ziemi wielkopolskiej. Tom I. Poznań 1934, str. 176.
35. Księga Pamiątkowa Akademick. Koła Szamotulan 1924—1934. Szamotuły, str. 51.
36. Tydzień o Pomorzu. Praca zbiorowa pod redakcją mgr. L. Zabrockiego. Poznań 1933, str. 179.
37. Piorwiosnek. Pismo młodzieży w Śremie 1934.
38. Z grodu Halszki. Pisemko młodzieży gimnazjalnej w Szamotułach 1934.
39. Stanisław Pomykaj: Sejmik wielkopolski w Środzie 1934, str. 16.
40. Edmund Wiśniewski: Wspomnienia ochotnika Legji Wrzesińskiej. Września 1934, str. 76.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.
Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.
Redakcja: Poznań, ul. Wszystkich Świętych 3. — Przedstawiciel redakcji prof. Wiktor Fabian.
Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński. ul. Grottgera 19 m. 13 — Tel. 8.45.48.
Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.
Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.